PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 26 *Warszawa, 27 czerwca 1914.* Widok 3.

Tragedja Francji.

1.

Jednodniowy gabinet Ribot'a, dwukrotne w ciągu tygodnia przesilenie ministerjalne, trzykrotna wreszcie w jednym miesiącu zmiana osób u steru nawy państwowej: to już — nie pośpiech, olśniewający błyskami szybkich, zwrotnych postanowień; to chorobowa gorączka, świadcząca o stanie zapalnym całego organizmu państwowego.

Że zmiany gabinetów we Francji, w czasach ostatnich, wyrażają coś głębszego ponad zwykłe przesilenia ministerjalne; że są symptomatem kryzysu, ogarniającego rząd i naród Trzeciej Republiki: o tym dość dużo już i we Francji samej i poza jej granicami pisano. Pod wpływem publicystyki zagranicznej i nasza prasa na poważniejsze i bardziej rzeczowe zdobyła się oświetlenie walki parlamentarnej we Francji.

Ale też i na tym poprzestała: na oświetleniu terenu parlamentarnego. Dzięki prasie, ogół nasz zyskał możność wyjścia poza ambicje jednostek bądź grup politycznych, i ogarnięcia politycznych prądów oraz sił na gruncie parlamentarnym ze sobą walczących.

Atoli wielka narodu francuskiego tragedja rozgrywa się poza parlamentem. Nie dojrzy jej ten, kto tylko z loży dziennikarskiej patrzy, choćby najpilniej, na trybuny ministrów i na ławy poselskie. Parlament sam jest pewnego rodzaju symptomatem, poprzez który wzrokiem sięgać trzeba dalej; jest wskaźnikiem wewnętrznym przyczyn nurtujących na dnie społeczeństwa. Fakt, że upadek jednego z ministrów omal za sobą nie pociągnął upadku prezydentury Poincarégo, jest znakiem wymownym, że starcia parlamentarne przekraczają progi parlamentu, i że czerpią siłę z napięcia starć i niepokojów, ukrytych głębiej, w rdzeniu społecznej istoty narodu.

2.

Rzeczą niesłychanie łatwą i pokuśliwą jest zaliczenie całej serji ostatnich wstrząśnień w rządzie i w polityce francuskiej do gwiazdozbioru zwycięztw demokracji. Tak miło jest uznać, że gdzieś tam szczęśliwie postawiony został krok nowy na drodze postępu; że gdzieś tam cios zadano militaryzmowi!... Zwłaszcza, gdy się patrzy w swietną plejadę ideałów, do urzeczywistnienia przekazanych potomnym przez Rewolucję Wielką, gdy się patrzy w tę czeredę genjuszów myśli, sztuki, kultury i humanizmu, która od wieków opromienia Francję chwałą śród całej Europy, gdy się tę przeszłość Francji rozważa i podziwia: wówczas tak wdzięcznie i tak na pozór logicznie imiona Jaurès'a i Viviani'ego układają się w starym szlaku gwiaździstym, jako nowe gwiazdy. Ale gdy się zważy jednocześnie, że w parlamencie obecnym, na podstawie świeżych wyborów zgromadzonym, dwie wytworzyły się większości, z których jedna niewątpliwie wystarczy do obalenia reformy wojskowej, druga zaś do sparaliżowania reformy podatkowej, niema natomiast większości trwałej zapewniającej tryumf reformom rzeczonym lub jakimkolwiek innym; skoro się zważy sztuczność, z jaką przeciwstawiono podatek dochodowy utrzymaniu służby trzy-

letniej w wojsku, gdy właśnie sprawiedliwszy rozkład ciężarów państwowych dawałby mocniejszą podstawę wysiłkom bojowym państwa: gdy się zważy okoliczności powyższe, wtedy, wbrew ochotnym popędom zapału, gaśnie w nas radość z odniesionych przez Francję «zwycięztw» nie cieszy nas dokonana «zdobycz» demokracji. Jest jakiś smutek wewnętrzny w samej treści zjawisk, który przegryza pozory świetności, i otwiera dostęp najdalej idącym wątpliwościom. Dzisiaj wysunięci zostali socjaliści, ażeby podkopać prawo o wzmocnieniu obrony krajowej. Ale, gdy socjaliści zrobią swoje, wówczas bodaj, że nic nie stanie na przeszkodzie temu, iż z kolei wystąpią ci, którzy Francją władają istotnie, bankierzy i finansiści, aby pogrzebać podatek dochodowy. Że to ostatnie przewidywanie nie jest mrzonką, to widać dziś już z podanej przez dzienniki wiadomości o groźbie, z jaką spotkał się ze strony bankierów paryskich Doumergue, poprzednik «jednodniowego» gabinetu Ribot'a: bez obsłon i omówień dano mu do zrozumienia, że najbliższa pożyczka wewnętrzna Francji nie zostanie pokryta, o ile rząd *na serjo* o wdrożeniu podatku dochodowego myśli.

3.

Ostatnie wybory odbywały się pod znakiem trzech doniosłych spraw. Chodziło o trzyletnią służbę wojskową, o reformę wyborczą i o podatek dochodowy. Z nich wszystkich najostrzejszą aktualność posiadła natychmiast po zagajeniu nowego parlamentu sprawa służby wojskowej. Tamte obie odsunięto na plan dalszy. Francja egzamin z żywotności zdać miała przedewszystkiem w obliczu polityki międzynarodowej.

Jakże go zdaje? Gdy ministerja zeszłoroczne stały niezłomnie na stanowisku służby trzyletniej, Ribot w swej formule kierowniczej oświadczył już tylko, że jej kwestjonować nie wolno. Jego zaś następca — Viviani, idąc o krok dalej, oświadcza, że służbę trzyletnią skoro uchwalona została... wypada tolerować. Tak, od twierdzenia, poprzez nieuchwytne odcienia, kroczy rząd francuski ku toleracji... względem własnej siły mocarstwowej.

Tolerancja jest uczuciem wzniosłym. Ale w tym wypadku? Gdyby się na nią zdobył rząd niemiecki, gdyby hasło rozbrojenia rzuciły Europie Niemcy, to wówczas byłoby to hasło potęgi, która przemaga samą siebie, w górniejszą rozkwitając postać. Niestety, we Francji hasło powrotu do służby dwuletniej nie jest rozmachem siły, która z samej siebie czerpie otuchę bezpieczeństwa, ale podszeptem rezygnacji, która za cenę kompromisu pragnie kupić sobie porcję spokoju... dla jednego jeszcze pokolenia. Z rezygnacją zaś idzie w parze znużenie. Burżuazja i finansjera francuska, mianowicie, bardzo jest znużona przymierzem z Rosją, która za nierealne widoki poparcia inkasuje chciwie realne sumy w postaci bez końca czerpanych z Francji pożyczek. Atoli rząd francuski, z poza machinacji giełdowych, czy dostrzega prawdziwe oblicze alternatywy, wobec ktorej stanął? Sojusz z przyjacielem mocnym i dalekim stał się dla Francji kosztowny; to prawda. Uzależnienie się od sprzymierzeńca stało się dla Francji niekorzystne i krępujące; to prawda. Ale uzależnienie się od potężniejszego wroga, stałoby się dla Francji sojuszem morderczym. Przed laty stu pięćdziesięciu znalazła się w takim kole tragiczym Polska: nie potrafiła zeń wyjść i—runęła, jako państwo. Osaczona z jednej strony przez rujnującego sprzymierzeńca Prusy, z drugiej przez otwartego przeciwnika — Rosję, istniała do chwili, w której, zrażona kosztami opieki sojusznika, oddała się ślepo pod opiekę Rosji A godzi się przypomnieć, że również zawdzięczała zwrot ów samobójczy głosom, które jedyny ratunek i oporę niepodległości pokładały w rozbrojeniu granic.

4.

Któż nie wie o wyludnianiu się Francji? Ale trzeba wiedzieć także, że właśnie służba trzyletnia zaciążyła nad Francją, jako groźny refleks wyludnienia, że jako konieczność tragiczna staje między jednostką a narodem, by na jednostce pomścić i wyrównać krzywdę narodu. Chciałoby się niemal rzec, że zawisa nad Francją, jako kara, gdyby wyraz ten nie był tak stale nadużywany przez nacjonalistów i klerykałów, i, gdyby nie wywoływał w pamięci widma grzechu. A przecież nie za grzechy ponosi Francja dzisiejsza tak okrutną karę, nie za grzechy, ale właśnie za najcelniej-

swe cnoty. Upadek rozrodczości we Francji, nie pochodzi bynajmniej, jak się mniemać zwykło, na podstawie powierzchownej włóczęgi po Paryżu, z rozwiązłości płciowej społeczeństwa. Rzecz ma się raczej przeciwnie. Nizka stopa rozrodczości francuskiej nie z ujemną wiąże się stroną obyczajów, ale z dodatnią: korzeni się w przezorności, w rozwadze, w rozsądku, we władzach kontroli i samowiedzy, w zamiłowaniach dobrobytu, oświaty, posiadania i niezależności osobistej: słowem w szeregu przymiotów stanowiących koronę etyki demokratycznej i mądrości współczesnego w Europie „poczciwego człowieka".

Jeśli więc może być mowa o karze, to nie w pospolitym tego słowa znaczeniu, ale w znaczeniu losowym i tragicznym. I jeśli może być mowa o grzechu, który karę te spowodował, to również nie w znaczeniu powszednim, ale w ujęciu i w znaczeniu głębszym, przekraczającym odpowiedzialność indywidualną.

Nie wskutek wad swoich Francja upada, ale upada pod nadmiarem cnót: na tym polega jej tragedja, w dziejach świata jedyna.

Jak ongi w Polsce przerost swobód indywidualnych dał w wyniku i w sumie dziejowej niewolę całego narodu, tak dziś we Francji indywidualne wszystkich obywateli cnoty składają się w sumie na pierworodny grzech narodu, jako całości.

Wszyscy obywatele Francji, jako jednostki, są zrównoważeni, są przezorni, są trzeźwi, ale gdy owe zalety jednostkowe złożymy w całość, otrzymamy, jako sumę, w polityce Francji: chwiejność, ślepotę, lekkomyślność.

Każdy Francuz w rodzinie swej, w swej osobistej gospodarce, oszczędza i porasta w bogactwo. Ale Francja, w gospodarce zbiorowej, siły trwoni i ubożeje. Każdy obywatel zosobna wzorem jest oszczędności. Wszyscy społem, jako naród i państwo, są szczytem marnotrawstwa.

Aby to przeciwieństwo pojąć, wytłomaczyć należy, na czym Francuz robi oszczędności.

5.

Pominąwszy przypadki wyjątkowe—zdarzające się zresztą tylko po wsiach — Francuz dzisiejszy nie oszczędza na jedzeniu, na odzieży, na mieszkaniu, nawet na przedmiotach zbytku. Pospolita rodzina mieszczańska we Francyi nie żałuje sobie na nic z pośród rzeczy niezbędnych do życia. Owszem, kocha się w dobrobycie. Żadnej dostępnej dla się przyjemności nie poświęci, by grosz odłożyć „na czarną godzinę". Wszyscy pną się wzwyż po drabinie społecznej, chcą okazać światu czym są, niekiedy chcą okazać coś więcej. Robotnik w niedzielę wdziewa strój mieszczanina, mieszczanin chciałby uchodzić za magnata. Dzieci otrzymują wykształcenie, aby wzniosły się ponad klasę rodziców, którzy, gdy trzeba, potrafią sypnąć złotem na koszta szkoły i wychowania. Chłop wiejski kształci jednego z synów na nauczyciela wiejskiego; nauczyciel wiejski chce z syna zrobić profesora wszechnicy; profesor wreszcie marzy dla swych dzieci o wysokich urzędach państwowych. Rzeczy zbytkowne znajdują chętnych nabywców. Restauracje, kawiarnie, teatry wypełnia średnio zamożna publiczność. W dni świąteczne ludność cała hurmem ciągnie na wycieczki podmiejskie. Średni i nawet drobny burgeois francuski nie liczy się z groszem tak bardzo, gdy chodzi o potrzeby życia; nie skąpi sobie nawet tam, gdzie chodzi o przyprawy życia. Nie! Nie można rzec o nim, aby oszczędzał w pocie swego czoła!...

Lecz, w takim razie, skądże się biorą owe kolosalne zbiory oszczędności, które zdumiewają i apetyt łechcą w całej Europie? Skąd rosną miljardy *) wolnej gotówki?

Miljardy swoich oszczędności Francja zawdzięcza ograniczanej dobrowolnie liczbie potomstwa. Francja robi oszczędności na potomstwie. Każda rodzina francuska zaoszczędza sobie gotówkę, którąby mniej więcej wydać musiała corocznie, gdyby wypadło jej chować, karmić, kształcić i wyposażać tyle dziatwy, ile jej posiada średnia rodzina niemiecka lub włoska. Oszczędności Francji płyną tedy przedewszystkiem z umiarkowania siły rozrodczej, nie zaś z umiarkowania wydatków; opierają się na przezorności płciowej raczej, niźli na przezorności gospodarczej; jak gdzieindziej rodziny pewne odmawiają sobie bywania w teatrze, podróży

*) Według obliczenia najlepszych ekonomistów Francja oszczędza rocznie od miljarda i pół do dwóch miliardów franków.

lub kosztownych ubrań, aby móc dzieciom zostawić w puściźnie majątek, tak Francuz odmawia sobie liczniejszego potomstwa, aby temu które posiada, zostawić więcej, a i na własne też zachcianki nie skąpić. Francuz, słowem nie lokuje kapitałów w ludziach swej narodowości, w krwi swojej i w swoim ciele, i, gdy każda rodzina niemiecka część zarobku składa w swoim czwartym dziecku, rodzina francuzka dzieli między pierwszych troje, lub między dwoje, kapitał, przypadający na koszta wychowania trzeciego i czwartego (albo traci go na siebie).

6.

Lecz o czymże to świadczy?

Czyliż nie świadczy to właśnie, że Francja robi oszczędności złowieszczo kosztowne? Że oszczędza na materjale własnej swojej przyszłości narodowej, że przyszłość swoją własną trwoni? Że się, by móc oszczędzać, rujnuje? Cóż z tego, że z Francji w świat wędrują kapitały i wracają z nieomylnym zyskiem: kapitały owe zdobyte zostały za cenę niepowetowanie drogą: za cenę nienarodzonych pokoleń. Między Francją a Polską niemal na wszystkich życia społecznego punktach zachodzi przeciwieństwo: Francja jest typem burżuazyjnym, my jesteśmy śród narodów Europy typem najbardziej proletarjackim i wyrobniczym. A jednak jest, pod lawiną kontrastów, coś, co nas z nią łączy, co nas z nią tragicznie upodobnia. Francja wysyła z kraju na zarobek swe złoto; Polska—wysyła na zarobek swe dzieci. My—Polacy—po wszystkich lądach świata siejemy pot i krew swego ludu; Francja sieje kapitały. Ale kapitały francuzkie są zastępnikami ludu francuskiego. Wzeszły na pustyni, która pochłonęła ocean strwonionego życia.

7.

Demokracja francuska, w imię indywidualizmu, rozpyliła społeczeństwo na miljony samodzielnych, wzajem uniezależnionych od siebie jednostek-atomów: ile jednostek, a raczej ile w kraju rodzin, tyle uświęciła ośrodków egoizmu, nawzajem siebie wyłączających. Im zaś bardziej rosła rozbieżność atomów, tym bardziej uzasadnioną wydawała się potrzeba sprężystego centralizmu państwowego, który by ośrodki rozpierzchnięte żelazną zwierał obręczą. Jedno tedy zło usiłowano leczyć w ten sposób, iż dodawano doń zło drugie. Egoizmy jednostkowe usiłowano uśmierzać w ten sposób, iż poddano je pasorzytnictwu zbiorowemu koterji, nepotyzmu i kliki rządzącej lub wręcz urzędniczej. Rzecz prosta, iż ten sposób ostatni, niczemu nie zapobiegając, wszystko—rozgrzeszał.

8.

Małżeństwa francuskie, ojcowie i matki w alkowach swoich, w gniazdach swego szczęścia, pod opieką materjalistycznych cnót indywidualnych, ranią naród francuski w najistotniejszych podstawach zbiorowego trwania i rozwoju. Nie ożywia ich żadne z owych uczuć, w imię których ludzie wiążą się w społeczeństwa, w narody, w organizmy; ożywia ich chęć tylko jedna: aby żyli dostatnio, i aby dzieci żyć mogły, skoro dorosną, w równym dostatku. I pod naciskiem tej jedynej chęci, by nie mnożyć działów, raz za razem, pomniejszają naród o jedno dziecko, o jednego przyszłego obywatela. I naród mógłby w ten sposób topnieć bez końca, powoli niknąc aż do wygaśnięcia.

Ale naród trwać musi! Ma w sobie wolę trwania, wolę samozachowania: co więcej, zawiera w sobie wolę rozwoju i potęgi. Jest ktoś, kto go ku temu zmusza. Ktoś tajemniczy i groźny. Kto? Francuzi w języku swoim nazywają go: Allemand — Niemiec.

Przeciwko Niemcowi, który posiada miljonową armię, muszą mieć armię również miljonową; nie rozporządzając wszakże młodzieżą dostatecznie liczną, zmuszeni widzą się przedłużać służbę wojskową. W ten sposób obywatele francuscy za materjalistyczny egoizm swój ponoszą karę na osobach własnych, tudzież na osobach swych dzieci, karę surową, która ich przeraża, której poddać się nie chcą. Parlament staje dęba przed jej niecofnionym widmem. Wywraca ministerja. Szarpie urząd i osobę prezydenta. Chwieje posadami republiki. Dopatruje się wreszcie sprawcy nieszczęścia w Niemcu, który stoi u granic francuskich od półwieku jako uosobienie grozy i niabezpieczeństwa; zwraca się ku niemu, i aby istotę jego przemienić, aby się

odeń uwolnić, chce ofiarować mu zgodę, przymierze i braterstwo. Utopiści pacyfizmu—nieświadome imperjalizmu niemieckiego narzędzia—już gotowe wydostają argumenty, by dowieść, że jedyne godne Francji zwycięztwo, to nie jest zwycięztwo nad Niemcami, ale zwycięztwo nad swą do Niemców nienawiścią!...

Francja, jednakże, póki żyje, nigdy od wizji Niemca się nie wyzwoli.

Bo kimże jest dla Francji Niemiec?

Sąsiadem zbrojnym zza Renu: tak, oczywiście. Ale i czymś więcej także, czymś także istotniejszym. Niemiec—to hasło, budzące czujność Francji. To—żelazna dla Francji ostroga, i—zarazem pole snów o odrodzeniu mocy narodowej. Pod nazwą owego osobnika wrogiej narodowości ukrywa się dla Francuza tajemnicza wola, która narody pcha w nieustający pochód, po przez pożary wojen, ku spełnieniu właściwego każdemu z nich przeznaczenia. Owa to właśnie wola Francji spocząć dzisiaj nie pozwala na hedonistycznym łożu użycia, i każe łamać jej własne nałogi, deptać własne cnoty, i nawet własne pracowicie uciułane szczęście poświęcać w ofierze niebezpieczeństwom walki.

Pod jej naciskiem wyrównać się musi wcześniej lub później śród gwałtownych przesileń, moralny budżet Francji: obywatel zwrócić musi ojczyźnie swej to, cojej przez długie lata zabierał.

Gabinet Vivianiego może przed służbą trzyletnią się cofać: Francja się przed losem swoim — nie cofnie.

GROMICZ.

Rzeczy i ludzie.

Najwymowniejszą poszlaką boskości człowieka jest to, że nie znając innego świata, prócz tego, na którym żyje, nazywa go jednak *światem dziwnym*.

***

Bywają ludzie smutni dlatego, iż nie wierzą w Boga; ale o wiele więcej bywa takich, którzy są smutni dlatego, iż nie wierzą w djabła.

***

Wierzyć w djabła, to znaczy uznawać, iż zło da się w świecie wyosobnić i odgraniczyć.

ORION.

Echa Prawdy.

I. U progu wakacji II. Zjazd Związku Stowarzyszeń Spożywczych. III. Areopag polityczny.

I. Oto koniec roku szkolnego. Dokąd i po jaką wiedzę pójdą maturzyści szkół naszych?

Czy rodzice, czy ogoł i — wreszcie — oni sami zastanowili się nad tą doniosłą sprawą?

Bo dziś pytanie, w jakim kierunku kształcić się będą młodzieńcy polscy — ma wagę sprawy ostatecznej.

Trzeba dużo ludzi energicznych, zawodowo przygotowanych, żeby usilnie walczyć o niezaprzeczone, ale zaniedbane prawo ekonomicznego władania ziemią.

Daremnie na trybunach prasowych będą brzmiały hasła odrodzenia, skoro brak ludzi, zdolnychdo wprowadzania haseł w czyn.

Niestety — dotychczasowe doświadczenia i obserwacje usposabiają nas złowróżbnie.

Inteligencja nasza hołduje przeważnie przywidzeniom i wstrętom, godnym szlachetczyzny wieku XVII-go.

Im to — urojeniom i brakowi zdawania sobie sprawy z rzeczywistości — przypisać należy iż, pomimo haseł pozytywnych pracy organicznej roku 1870-go, inteligencja i sfery, uważające się za inteligencję, stale pchają swe dzieci do zawodów wyzwolonych, traktując pogardliwie handel i zajęcia techniczne.

Tylko brak środków, albo małe zdolności dziecka zmuszają rodziców do skierowania syna ku zawodom praktycznym. I w dalszym ciągu obok groźby oddania «do szewca», istnieje postrach oddania do handlu.

Oprócz tej straty nieoszacowanej, że przez to nie mamy prawie kupiectwa polskiego, — z winy ujemnego doboru, wśród nielicznych kupców polskich mało jest jednostek uzdolnionych i obdarzonych inicjatywą.

Jeden z publicystów obliczył niedawno, że około pięciuset młodzieńców studjuje filozofję i literaturę na wszechnicach galicyjskich.

A ilu teraz, po wakacjach uda się tam na filozofję?

Czy ani względy społeczne, ani zrozumienie własnej korzyści nie zdoła zbudzić z drzemki naszej inteligencji, i nadal całe skarby młodych energji oraz zasoby materjalne będą marnowane bezpowrotnie?

Trudno liczyć zbyt ufnie na obudzenie się praktyczności u nas, gdy sami kupcy polscy dają przeważnie zły przykład, odsuwając swe dzieci od handlu przez wpajanie im wstrętu i pogardy dla tego zajęcia, a popychanie ku zawodom wyzwolonym, nawet ku nauczycielstwu.

Jeżeli dalej tak, jak dotychczas, nieproporcjonalnie do potrzeb i środków naszego kraju, będzie zwiększała się liczba ludzi o potrzebach kulturalnych, a pozbawionych zdolności i przygotowania do pracy produkcyjnej — przy braku placówek, wyzyskujących bogactwa przyrodzone i zaspakajających najważniejsze potrzeby ogółu — to kraj nasz stanie się dla nas pustynią, a żerowiskiem dla obcych, my sami zaś — gromadą niewolników, nędzarzy i żebraków.

II. Czwarty z rzędu Zjazd *Związku Kooperatyw Spożywczych* — odbył się już we własnej siedzibie, na Mokotowie.

Ów pierwszy bodaj polski «nasz dom» współdzielczy – zamały jest dziś jeszcze by pomieścić wzrastającą wciąż siłę Kooperacji polskiej. Przeszło 500 osób chyba było na sali, która zaledwie 450 pomieścić może.

Do związku należy dziś 295 stowarzyszeń— których majątek przeszło 2,400,000 wynosi, a obroty przeszło 8 miljonów i w których przeszło 41 tysięcy członków «sami sobie» dobrobyt demokratyczny stwarzają. Kooperacja nasza szybko rośnie w siłę, bo w roku zeszłym na Zjeździe o 35 tysiącach członków w ogólnej liczbie stowarzyszeń słyszeliśmy.

Że zaś na rozwói naszego życia gospodarczego ruch ten ma już dziś nawet w swojej młodości (większość stowarzyszeń nie przekracza lat 4-ch) wpływ — o tem świadczą cyfry, tyczące powstawania sklepów żydowskich i chrześcijańskich.

W roku sprawozdawczym powstało ich 287, a upadło 347 — przeważnie tam, gdzie ludność do kooperacji się zwróciła.

Obrady i wnioski Zjazdu pełne były poczucia ideału społecznego i chęci wyrośnięcia z materjalistycznych początków — ponad siebie — aż tam, gdzie ruch współdzielczy o ogólno-społeczne i narodowe reformy się zahacza. Nie podobało się to niektórym materjalistom szczególnego autoramentu. Jakiś ksiądz ujmował się za sprzedażą «miodku» w stowarzyszeniach, ktoś inny wyraził powątpiewanie, czy czasem *Społem* nie jest socjalistyczne, bo pono jakiś czytelnik, czytając, miał wrażenie, jakby socjalistyczne pismo czytał. Niektórzy z pełnomocników wyrażali się z powątpiewaniem o podejmowaniu wydatków na rzecz Związku, jakby nie pojmując, że Związek i Stowarzyszenia — razem o sobie «my» powiedzieć mogą — że jedno ze sobą stanowią.

Ktoś bronił się przeciw tendencji zmniejszania osobistej dywidendy od zakupów na rzecz zwiększenia kapitałów społecznych, nie wylazł jeszcze snadź ze skóry sobka, ogół jednakże z zapałem stanowił to co jest w kooperacji wyrośnięciem z egoizmu i sięgnięciem ku wzniosłej solidarności społecznej.

Chociaż przy kooperacji o bezimiennym ogóle raczej mówić by należało, niż o jednostkach, nie mogę się powstrzymać, aby tu o Stanisławie Wojciechowskim nie mówić. O cudownym człowieku, który w żelazne ręce ujął i coraz wyżej wznosi nieuchwytny ów i swawolny zdrój polskiej energji, który dziedzinę pracy współdzielczej postanowił ze społeczeństwa wywołać i uczynił to, sam niezmordowany i dotąd niezastąpiony, i cieszy się, bo «nie to najważniejsze, iż sklepy powstają, ale to, że my się tu uczymy pracować społem, że się uczymy kochać wzajem nie w próżniactwie, zabawie i pohulance, ale *w pracy*». Zaiste, tego dotąd nie było. Nie umieli się dotąd Polacy kochać w pracy.

To jest nowe i silne, a wszystko, co nowe i silne, to się do naszej pracy przygotowawczej i odrodzeńczej ważkim dorzuca kamieniem.

Wierzę, że wtedy, kiedy trzeba będzie szalę przeważyć, najpierwsi znajdą się ci pracownicy, wysilający się, twórczy.

Praca współdzielcza to nie ów kłamny, łatwy pseudo-pozytywizm, krzewiący ideje egoistyczne i oportunistyczne «enrichissez-vous» mówi.

Współdzielczość woła: Uniezależniajmy się ekonomicznie! a to jest co innego.

P. St. Wojciechowski trzymał na Zjeździe wysoko głownią płonącego ideału, czując snadź wysoką ruchu współdzielczego wartość, był wobec niego śmiały, bezwzględny, bez cienia najmimowiedniejszego nawet schlebiania czemu, czy komukolwiek.

Mówił, że należy wyrość z powijaków dywidendy i ogarnąć szerokie horyzonty, do których kooperacja wiedzie. Podkreślał, że przeciwnikami obciążeń na rzecz kapitału uspołecznionego są przedewszystkiem bogatsi członkowie, ubożsi skłonni są do społecznego idealizmu.

Jednogłośnie prawie uchwalono, aby z czystych zysków*) stowarzyszeń opodatkować się na rzecz związku po rublu od członka.

Postanowiono również dążyć do wyrugowania ze sklepów współdzielczych handlu trunkami wyskokowymi.

Znamiennym wnioskiem było postanowienie, aby unormować dzień pracowniczy w sklepach współdzielczych. Dziś jeszcze jest pod tym względem źle. Jedna tylko kooperatywa ma 8-godzinny dzień roboczy. W bardzo wielu istnieje 14-o godzinny, a w 14-u nawet 16 godzinny dzień roboczy.

Zjazd określił jako maksymum 12 godzin pracy w sklepach współdzielczych. Nie jest to bynajmniej norma pożądana, ale... należy się jeszcze liczyć z rzeczywistością, która wolniej wstępuje wzwyż, niźli polotne chęci.

---

*) Z których, jak wiadomo, płatna jest dywidenda.

Szczegółowe cyfrowe sprawozdania Związku znajdą czytelnicy w najbliższych numerach «Społem» i tu się nimi zajmować nie będziemy.

Czego należy życzyć tej naszej młodej kooperacji i, co być może jest w niej zaniedbane, to, aby weszła w ściślejszy kontakt z kooperacją innych dzielnic polskich.

To prawda, trudności są duże — kordon — cła — i to jest może największe dla naszej kooperacji niebezpieczeństwo, jeśli go nie pokona. Kiedy o tem myślę, przypomina mi się jeden kooperatysta Anglik, który, gdy mu mówiłem z entuzjazmem o jedności, jaką usiłujemy wskrzesić między trzema dzielnicami Polski, o wspólności literatury i ducha, zapytał mnie nagle «All right, ale z kim macie stosunki handlowe i przemysłowe—czy z innymi dzielnicami Polski, czy z Rosją?

III. *Kurjer Poranny* stał się mimowiednym sprawcą wielkiego w obozie konserwatywnym poruszenia. O cóż chodzi? Chodzi o projekt stary, jak świat. O projekt ujednostajnienia naszej polityki zewnętrznej. O nadanie polityce polskiej jednolitości we wszelkich zbiorowych nazewnątrz wystąpieniach. Jednolitości tej zapewnić nie mogą stronnictwa, gdyż stronnictwo każde ma program, który obowiązuje do pewnej wyłącznej linji postępowania. A więc... wykonajmy skok ponad stronnictwa! Skok w powietrze sztuki, literatury i nauki! Z takim, istotnie, wezwaniem do skoku wystąpił ktoś w liście nadesłanym do *Kurjera Porannego*, który, zamieszczając zeń wyjątki, nie przypuszczał zapewne, aby rzecz wzięta była przez kogokolwiek ze zbytkiem powagi.

Stało się inaczej. Ponieważ projekt szedł po linji powszecznej słabości, tedy powszechne wywołał zajęcie. Poczęto się zastanawiać na prawdę, czyby nie należało reprezentacji politycznej narodu wobec Europy powierzyć areopagowi, złożonemu z t. zw. «dygnitarzy ducha» t. j. uczonych i artystów, którzy odznaczają się tą szczególną nad działaczami politycznymi wyższością, że, nie mając żadnego o polityce pojęcia, nie mogą się pojęciami w zakresie polityki różnić. A więc w myśl wyżej nadmienionego projektu, zgoda, do której nie może nas doprowadzić wiedza i kompetencja, doskonale dałaby się osiągnąć poprostu... brakiem wiedzy i kompetencji.

Dobrze niebardzo, jak mawiał Sabała. Ale jeszcze zostaje pytanie, co ów areopag, na podstawie braku wiedzy i kompetencji złożony, miałby do przedstawienia Europie?

Oczywiście: sumę trzech lojalizmów, to jest z punktu widzenia zarówno naszego jak i Europy — rzecz bynajmniej nieciekawą i nie zasługującą na poznanie... w czasie zwykłym.

A w chwili osobliwej? W chwili jakiejś wielkiej próby dziejowej?

Ha! ha! ha! Przecież w owej chwili z areopagu dzisiejszych «dygnitarzy ducha» śladu nie zostanie!... Śladu ani pyłu! Przerażone owych dygnitarzy wzroki odbiją, na głos pierwszego zwiastuna burzy, taki bezmiar zamętu, zrozpaczenia i niemocy, jaki zionie dziś jeszcze z listów Zygmunta Krasińskiego, pisanych do ojca w pamiętnym roku... tragedji narodowej, lub choćby z mów sejmowych zacnego Lelewela!...

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury —— —— politycznej.

VI.

LEON DAUDET: Fantomes et Vivants.

Nie rozumiem powodów, dla których *Gazeta Warszawska* przypuszcza, iż postępowcy polscy z gniewem czytać będą dzieło powyższe, które, zgodnie z nią, nazwać możemy popolsku «Pamiętnikami Nacjonalisty».

Nie uważam siebie za przeciwnika postępu, a jednak przeczytałem książkę z żywym zadowoleniem. Napróżno szukałbym gniewu albo nienawiści śród wrażeń i odruchów, jakie budziły się we mnie podczas czytania. Jeśli doznawałem jakichś uczuć przykrych, to nie były to uczucia gniewu, ale raczej zazdrości, na domiar, zazdrości, powstającej nie bezpośrednio, lecz ubocznie: z porównania nacjonalisty francuskiego z ogółem nacjonalistów polskich. Zazdrościłem Francji jej nacjonalistów! *Parbleu!* Jeżeli już plagą czasów naszych nieodzowną bywa, że kraj każdy ma swoich nacjonalistów, to jakże zazdroszczę Francji, że na czele jej nacjonalizmu kroczą ludzie tacy, jak Maurras, Daudet lub Barrès! Ludzie ci, zaiste, w nieszczęściu, jakim jest nacjonalizm, niezaprzeczonym są szczęściem, świecąc inteligencją, imponując odwagą osobistą, promieniując dowcipem, zdumiewając konsekwencją sądów i śmiałą szczerością wnioskowań.

Samo zestawienie nacjonalistów francuskich z nacjonalistami z *Gazety Warszawskiej*, staje się dla tych ostatnich bolesnym upokorzeniem. Przecież taki Maurras, taki Leon Daudet, taki Cheradame, nie mogliby wprost ręki podać naszemu spoliczkowanemu publicznie nacjonalizmowi: oni, których zawadjacki, burzliwy i, bądź co bądź, rycerski animusz w stu pojedynkach szukał ujścia, w ustawicznych starciach ryzykował życie i zdrowie, na twarzach zaś odbija się pieczęcią blizn i szram

zostawionych przez szablę, nie zaś gamą 5-iu śladów, zostawionych przez palce! Nacjonaliści francuscy nie obrabowali instytucji skarbowej; gdyby zaś popełnili grabież, napewno mieliby odwagę przyznać się do tego. Nie kłamaliby tak tchórzliwie, jak to czyniła *Gazeta Warszawska*, tłomacząca się zrazu, że ze Skarbu Narodowego wzięto tylko 20 tys. franków, aby potym w milczeniu połknąć rachunek, stwierdzający, że zrabowano więcej ponad 130 tysięcy

To też nacjonalizm francuski, aczkolwiek w starą, z przed lat 150-ciu, w monarchiczną przystroił się ideę, pociąga młodzież za sobą: dociąga właśnie nie tyle swą ideą, ile junakierją swych wodzów, impetem szalonych szturmów. jakie przypuszczają oni do twierdz Trzeciej Republiki. Nasz nacjonalizm polski, natomiast, nie tylko ideą swą, ale i charakterem swych przedstawicieli doszczętnie w kołach młodzieży się zdyskredytował. Nie ma on w chwili obecnej do powiedzenia młodemu w Polsce pokoleniu ani jednego słowa, któreby nie było słowem, zadającym kłam najświętszym aspiracjom młodzieży, któreby nie było rezygnacją i kompromisem, słowem samoponiżenia i samozatraty. Gdy nacjonalizm francuski woła ku młodzieży: «Hej! do góry czoła: jesteście Francuzami». Nacjonalizm polski do swoich zwraca się rodaków z kruszącym dumę wezwaniem: «Na kolana przed Puryszkiewiczem: naród każdy ma taki honor, na jaki go stać!»

Więc, bez gniewu, powtarzam, czytałem pamietniki Leona Daudeta; bez gniewu, ale raczej z zazdrością, która kąsała mnie, ilekroć mimowoli poza nacjonalizmem francuskim ujrzałem widmo rodzimego nacjonalizmu z *Gazety Warszawskiej*.

Wszelako Leon Daudet jest nie tylko politykiem: jest on także poetą i jest — synem poety-powieściopisarza, Alfonsa Daudeta. Jako syn człowieka, stojącego w swoim czasie na świeczniku kultury francuskiej, miał on możność od lat chłopięcych krążenia w promieniach wielu chwał francuskich, dzisiaj po części zagasłych, po części zaćmionych, a także po części do dzisiaj żywych, lub nawet żyjących. Jako student pierwszego kursu medycyny miał honor żegnać własnymi oczyma zachodzące słońce poezji francuskiej, imperatora romantyzmu, Victora Hugo. Odwiedział salon braci Goncourtów, gdzie spotykał całą literacką Francję, miedzy innymi Leconte de Lisle'a, który, zdaniem autora, pod pozorami liryzmu, taił drapieżne szpony satyryka: Victora Hugo np. określał, jako: *bête comme l'Himalaya* (głupi jak Himalaje); Zolę jako: *porc épique* (wieprz epiczny). Daudet z zachwytem podnosi ten rys drapieżności, gdyż sam jest urodzonym drapieżnikiem. Piórem włada, jak rapierem; uderza słowem, jak błyskawicą. Jest znakomitym portrecistą swoich przeciwników politycznych: poprostu, zabija ludzi ich portretami. Widzi jasno i sięga głęboko. Śmiercionośność jego dowcipu dojrzała niewątpliwie w walce z żydami, którzy, jak wiadomo, mistrzami są w ironji, w sarkazmie, w obezwładnianiu ludzi trującym lub zatrutym docinkiem, epitetem, karykaturą. I tu rozwarło się dla Daudeta pole tryumfu. Na ironję piekielną odpowiada ironją piekielniejszą, na sarkazm burzą sarkazmów. Karykatura skrzyżowała się z karykaturą. Śmiech starł się niby ognista kolumna ze śmiechem. Jako dziecko sławnego człowieka, Leon Dandet od młodu nosił w sobie arogancję, od kolebki niemal bezkarnie mógł pozwalać sobie na impertynencje, przypierał Zolę do muru studenckimi wybrykami, Heredię konfundował, przedrzeźniając jego nałóg jąkania, Mendès'a wyszydzając za spryt geszefciarski, Schwoba za brzydotę fizyczną i brzuch otyły, Loti'ego za kapryśną naiwność, Jerzego Clemenceau za kontrast śmieszny między starannością ubioru a pospolitością twarzy o wystających szczękach mongoła. Dla Francji, dla świata całego ludzie owi, tak sławne noszący nazwiska, byli bohaterami pracy, genjuszu, artyzmu lub władzy: dla młodego chłopaka, uzuchwalonego pobłażliwością, jaką osłaniały go względy na ojca, byli to tylko goście, biesiadnicy, blondyni, szatyni, jąkajły lub sepleniący, hypochondrycy cierpiący nieżyt kiszek lub niezgrabjasze w zbyt szerokich spodniach. Zuchwałość, arogancja i napastliwość, wzbierająca w nim latami, karmiona środowiskiem, zasilana doświadczeniem i obserwacją, predestynowała jakgdyby młodzieńca ku temu, aby się starł w przyszłości z Żydami, aby z Żydami walczył na śmierć i życie, aby z walki przeciwko żydostwu uczynił treść swego zawodu, hasło swego sztandaru. Albowiem zuchwałość, arogancja i napastliwość do takich posunięta granic, jakich sięgnęła w młodym Daudecie, nigdzie, na polu aryjskim, nie znalazłaby godnego dla się przeciwnika. Musiała więc z konieczności poszukać go tam, gdzie szczególne złożyły się na wytworzenie hodowli takich pierwiastków warunki: w środowisku żydowskim: w świecie żydów-bankierów i żydów-giełdziarzy, wczoraj jeszcze poniewieranych i wzgardzonych a dziś uświetnionych bogactwem i zaszczytami; wczoraj — płazów, dzisiaj — mecenasów sztuki. Ta to właśnie menażerja ludzi, dzisiaj pocących się złotem i nadętych pychą, a wczoraj deptanych w błocie i pijanych upodleniem, ludzi, z których żaden

niebyłani chwiliczłowiekiem, gdyż wprost z rangi robaka awansował na stopień pasorzyta: ta sfera znalazła swego piewcę, swego Homera i swego zarazem Iwana Groźnego w osobie Leona Daudeta.

Dr. W. ORŁOWSKI.

Szkoła — a społeczeństwo.

II.

Szkoła polska nie może być szkołą ugody i oportunizmu narodowego i życiowego, mogła nią być szkoła dawna, przyjmowaliśmy ją i chodziliśmy do niej, zahartowani i uodpornieni odpowiednio na wszelkie zakusy polityki gimnazjalnej. Dziś inspektor, dyrektor lub belfer z przed roku 1905 przypominają mi manekinów bynajmniej nie groźnych, dla których dusze nasze były nazawsze zamknięte. Więcej bólu, a i szkody więcej, sprawiali w szkołach ówczesnych ci Polacy z personelu nauczycielskiego, którzy nazbyt ściśle, ze strachu lub dla karjery, przestrzegali regime'u apuchtinowskiego. Ale jeżeli tacy Polacy znajdowali się, to winę i ciężar cały oskarżenia spoczywa na barkach społeczeństwa, żyjącego w pętach niemocy, mazgajstwa i owczej bierności. I dlatego też „Syzyfowe Prace“ Żeromskiego, to bicz na Polskę tamtych lat. Jak by nie było innych dróg, giął się pan szlachcic w pas panu dyrektorowi, „wilczy bilet“ był postrachem takim, że rodziny całe okrywał żałobą. Dziś 17,000 młodzieży kształci się w prywatnych uczelniach: czyż nie równoznączne jest to z położeniem tych, których ongi nie chciano przyjąć do przetłoczonego gimnazjum, a lament rodziny towarzyszył im w drodze ku zdobywaniu gruntu życia. Dziś zmieniły się czasy; co lat temu piętnaście wydawało się katastrofą, dziś jest objawem powszechnym. Czasy „syzyfowych prac“ już się nie powtórzą.

Lecz dziś, gdy karty z przeszłością zamknięte, gdy bolesna historja tamtych dni skończona, gdy już nowy okres życia naszego się zaczął, trzeba mieć wciąż uszy i oczy otwarte. Nie dajmy zakorzenić się złu. Zarodzią życia narodowego jest młodzież, szkoła wyższa i niższa. W granicach naszych możliwości, powinniśmy działać, nie kurczyć się. Nie sprowadzać dawnych ideałów na manowce, nie przetwarzać uczelni prywatnych w przedsiębiorstwa dochodowe, nauczycieli w najmitów, uczni w stado luzem idące. Niech się hartuje wola i charakter, dźwignia wszelkich czynów w młodzieży.

Tymczasem w szkołach polskich odbywa się systematyczne upośledzanie inteligencyi. Miernoty, ludzie ze średnim wykształceniem, różni absolwenci, którzy liznęli nieco uniwersytetu, zajmują często miejsca ludzi wiedzy, ludzi nauki, którzy niejedną owocną czy to naukową, czy społeczną pracą poszczycić się mogą. Tacy jak najmniej są pożądani, lepsi od nich są wyrobnicy, którzy rodzą się odrazu z ugruntowaną renomą, sławą pedagogów. Nie rzucam słów na wiatr, z ubóstwem inteligencji wśród sfer nauczycielstwa polskiego miałem sposobność się zapoznać, jeszcze silniejsze jest wśród nich lenistwo ducha, inicjatywy, — bierność, ospalstwo, oportunizm: z tymi cechami spotkać się można na każdym kroku.

Trudno jednak, by było inaczej!

Szkoła nietylko jest instytucją, w której wychowuje się uczeń, ona kształci i wychowuje również nauczyciela.

Nie może nauczyciel szkoły polskiej wyrobić w sobie zalet dobrego pedagoga, — gdy rokrocznie ma w perspektywie utratę części lub całego dochodu z lekcyi. Czy nie charakterystyczna jest ta co roku zmiana miejsc, jak w kontredansie wśród posad nauczycielskich. Są szkoły w których w przeciągu lat ośmiu setki nauczycieli się przesunęły. Czy na tem co zyskali uczniowie? Wątpię bardzo!

Ta ciągła zmiana nauczycieli tyczy się przedewszystkiem szkół, będących prywatną własnością przedsiębiorcy, dyrektora; lepiej się dzieje w szkołach, w ktorych stanowisko kierownika izolowane jest od spraw materjalnych szkoły. Taką np. w Warszawie jest Szkoła Kupców; im. Reja; im. Konopczyńskiego i inne. Za typowy zato przykład może posłużyć fakt, że jeden z sędziwych pedagogów polskich przed kilku laty usunął niemal cały personel nauczycielski w swojej szkole. Nie wchodzę w to, kto zawinił — kozłem ofiarnym była placówka oświatowa: szkoła i jej wychowańcy —uczniowie.

Wiem, że nie ma społeczeństwo bezpośredniej egzekutywy, by zmienić te warunki na lepsze. Niestety, szkoła polska, jako własność prywatna, pozwala na szerzenie się zła. W tych warunkach nie dorośnie ona rychło do stanowiska rzetelnej placówki współpracy pomiędzy uczniem a zespołem neuczycielskim dla dobra kraju i kultury.

Dziewięć lat trwa szkoła polska! Jak znikomy jej wpływ na społeczeństwo, jak szczupłe kręgi jej działalność zatacza. Przypomnijmy sobie, że wpływ Komisji Edukacyjnej, Uniwersytetu Wileńskiego i szkół kuratorji wileńskiej, a choćby dzisiejszych szkół galicyjskich sięgał nietylko do ram szkoły, ale promieniował na kraj cały blaskiem kultury. Gdzież są te promienie,

idące ze szkół polskich, gdzie są ci pedagodzy, nauczyciele, którzy w pierwszym rzędzie powołani być winni do niesienia kagańca wiedzy, nie tylko w szkole, ale w życiu. Niema ich niestety! Skurczyła się dusza i czyn! Poza kontrolą społeczną stanęła szkoła polska, teren do zdobywania lekcji dla tych, ktorzy godzą się z smutną rzeczywistością i nieuregulowanym stosunkiem szkoły do nauczyciela.

W tych warunkach ze szkoły polskiej dotychczas jeszcze nie wyzsedł zastęp ludzi, który mierzyćby się mógł choćby z zastępem nauczycieli szkół galicyjskich, z których rok rocznie obsadza się docentury uniwersyteckie! (wyłączam tu zespół profesorów kursów Naukowych w Warsz.)

Ale też w szkołach polskich ogładza się ludzi, którzy wykazali jakikolwiek przebłysk energji, inicjatywy, wiedzy. Szef biura, jakim jest drugorzędnej umysłowości pan dyrektor szkoły polskiej, nie zniesie obok siebie współpracownika, który przerasta go zdolnościami, inteligencją i t. d.

Nie chcę, by źle mnie zrozumiano i okrzyknięto za „zdrajcę narodu“, nie występuję przeciwko istnieniu szkół polskich, ale chodzi mi właśnie o ich dalszą przyszłość i rozwój, szczególniej dziś, gdy ta szkoła polska, chcąc konkurować ze szkołą „uprzywilejowaną“ do której napływ kandydatów jest tak liczny, że brakuje miejsc wolnych, musi promieniować słońcem światła, dorość do wysokości zadania, na jakim ją postawiło społeczeństwo, spełnić marzenie i nadzieję tych, którzy pierwsi założyli kamień węgielny pod jej fundamenty.

A stać się to może jedynie wówczas, gdy blizko tysiączna armja nauczycielska stworzy i wywalczy sobie postulaty takie, na jakie zasługuje i które należeć się winny wychowawcom przyszłych pokoleń, co więcej: wychowawcom przyszłej elity narodu.

Na gorącym uczynku.

Stanisław Patek (jako działacz polityczny): wielka nieudolność zapoznana.

***

Wacław Makowski (jako działacz polityczny): Vice-Patek.

***

St. Libicki: Coltuneriae Varsoviensis Pontifex Maximus.

***

Tyranja względem człowieka nie bywa tyranją, ale buntem, ponieważ człowiek jest królem.

HENRYK LEŚNIEWSKI.

Okna otwarte.

Z CYKLU «MIASTO».

Zgrzyt klucza ... Trzask bramy.
Kroki w podwórzu na schodach.
Ktoś się potknął — śmiech madamy ...
— — — — — — — — —
Dziecko płacze. Niańka po nie biegnie [bosa.
Ktoś z ciemnego okna w dół
Rzucił papierosa ...
— — — — — — — — —
Na pierwszem piętrze
Światło błysło elektryczne,
Oświetliło lila wnętrze,
Białe łoża i draperje
I w kielichu białe róże ...
— (Patrzą na nie oczy duże
Z pod wydłużnych rzęs). —
Pan w cylindrze wszedł przez drzwi,
Pani zrzuca suknię z siebie,
— (Od brylantów ręka lśni) —
Pan zasunął storę wiotką,
— (Gwiazdy śmieją się na niebie) —
A na trzeciem
Niańka płoszy cisz grzechotką.
— — — — — — — — —
Zgasło światło elektryczne
Tam, gdzie oczy były śliczne.
— — — — — — — — —
Sierpień ...
Gwiazdy porwał jakby szał ...
Jakby je ktoś ciskał, jakby je ktoś gnał!
Spada jedna — druga — trzecia —
Deszcz Leonid ...
. . . .
Pełne cierpień,
Szałów, gonitw
Miasto śpi ...
Przez otwarte na pół okno
Dolatuje mnie szept cichy ...
Szelest warg ... cichy śmiech — upojny [trunek ...
I, niby ptak, przez okno leci
Jeden — drugi — trzeci
Cudów pełny pocałunek ...

JAN FRANKOWSKI.

I kongres międzynarodowy etnologji i etnografji.

Współpracownictwo międzynarodowe w zakresie wiedzy zatacza coraz szersze kręgi. Niedość tego, że niema obecnie prawie żadnej dziedziny nauki, któraby nie miała swych kongresów, ale nawet spostrzec się daje coraz większa ich specjalizacja.

Dążność ta tym jaskrawiej występuje w naukach o człowieku, które, będąc wciąż w stadjum tworzenia się, tem silniej odczuwają potrzebę międzynarodowej kooperacji dla ostatecznego ukonstytuowania się. Po antropologji somatycznej i archeologji prahistorycznej kolej przyszła na etnografję i etnologję.

I oto stało się, że skromne miasto szwajcarskie, które 50 z górą lat temu zapoczątkowało serję kongresów archeologicznych, dało teraz również początek kongresom etnograficznym. W ciągu 5 dni (od 1 do 5 Czerwca) gościł Neuchâtel w swych murach przedstawicieli nauki, podróżników, misjonarzy (protestanckich), kolonizatorów — wogóle wszystkich tych, kogo rozwój międzynarodowy wiedzy etnograficznej dotyczył.

Inicjatywa kongresu wyszła od profesora miejscowego uniwersytetu, a zarazem dyrektora publikacji paryskiego Instytutu Etnografji — Van Genep'a. Człowiek ten pełen energji potrafił zdobyć poparcie władz małego kantonu Szwajcarskiego dla urzeczywistnienia, pomimo znacznych przeszkód, dzieła doniosłego.

Bo rzeczą niełatwą było oderwać od pracy w biegu roku akademickiego te liczne rzesze profesorów, z pośród których głównie rekrutują się tego rodzaju kongresy. Jeszcze trudniejszą do zwalczenia okazała się okoliczność, że jednocześnie odbywała się narada nad kongresem amerykanistów, co pozbawiło kongres neuchatelski reprezentacji krajów o języku angielskim.

Trudno jeszcze pod świeżym wrażeniem odbytego kongresu należycie ocenić jego dorobek naukowy. Już jednak daje się skonstatować jak dalece zamierzenia ambitne organizatorów nie dały się urzeczywistnić w zupełności. Rzuca się to przedewszystkiem w oczy, gdy porównamy liczbę projektowanych uprzednio sekcji z liczbą tych, jakie faktycznie funkcjonowały podczas kongresu. W nadziejach inicjatorów 7 sekcji miało podzielić między sobą pracę wewnętrzną kongresu w ten sposób, że stosunek etnografji miał być w nich wyjaśniony względem historji, archeologji, antropologji, językoznawstwa, geografji, psychologji i socjologji czyli wogóle wszystkich nauk humanistycznych, prócz tego materjał folktorystyczny miał być rozpatrzony przez sekcje specjalne. Niedostateczne jednak obesłanie kongresu głównie przez specjalistów w gałęziach wymienionych spowodowało zmniejszenie liczby sekcji do 4-ch, z których nie wszystkie nawet funkcjonowały przez cały czas trwania kongresu.

Najwięcej doniosła pod względem ogólnym okazała się praca sekcji I, poświęconej metodom etnografji. W sekcji tej zgrupowali się geografowie (Knapp, Bierman, Leiber, Seler) antropolodzy (Deniker) oraz nieliczni profesorowie etnografji. Prof. Weule z Lipska podniósł potrzebę wyodrębnienia etnografji od antropologji, gdyż podczas gdy pierwsza z nich za podstawę klasyfikacji ludów bierze cechy obyczajowe, druga natomiast opiera się na cechach fizycznych. W dyskusji podnoszono też potrzebę wyodrębnienia etnografji i od geografji, owej pramacierzy nauk opisowych. Pokreślano też rozbieżność metody antropogeograficznej, opierającej się na środowisku fizycznem, z metodą etnograficzną, doszukującą się przedewszystkiem ciągłości psychicznej rozwoju kultury. Przy rozważaniu znaczenia fotografji naukowej, wyraziła sekcja życzenie prędkiego powstania Instytutu międzynarodowego fotografji na wzór niemieckiego we Fryburgu Badeńskim.

Ciekawą w końcu była dyskusja, wszczęta przez D-ra Montandona o nazwę kongresów, które winne zwać się tylko entnograficznymi. Otóż dla większości specjalistów etnografja i etnologja oznaczają jedną i tę samą naukę o kulturze. Tylko podczas gdy pierwsze miano stosuje się do części opisowej-folktorystycznej, drugie — oznacza raczej część nauki syntetyczną oraz klasyfikację ludów, lecz nie ras, co pozostawić należy antropologji somatycznej.

Zupełnie bladą okazała się praca sekcji II, poświęconej etnografji psyhologicznej i socjologji.

Dawał się odczuć brak wybitniejszych sił naukowych, co zresztą było do przewidzenia, wobec istnienia kongresów odrębnych etnopsychologji i socjologji. Jedynym niemal przedstawicielem socjologji był Mauss z Paryża, tak jak — psychologji René Claparède, oraz filozofji — Bovet, obaj z Genewy.

Najwięcej obfitym pod względem materjału faktycznego był dorobek sekcji III, poświęconej etnografji prahistorycznej. Sekcja ta o znaczeniu specjalnym zgromadziła wielu wybitnych archeologów i historyków kultury śródziemno-morskiej, że wymienię: Belucci z Perugji, Testalozza z Medjolanu, Luquet z Montpellier, Matruchot i Reinach z Paryża, Jéquier i Comte z Neuchâtelu.

Niemniej specjalny materjał był przedstawiony na sekcji IV, poświęconej folklorowi. Komunikaty tej sekcji, ilustrowane przeważnie przezroczami, szły na posiedzenia plenarne kongresu.

Wśród odczytów tej serji wygłosił p. Lencewicz z Warszawy rzecz o ludności Polski, gdzie w szeregu barwnych przezroczy przedstawił nieco przypadkowo zgromadzone typy ludowe z różnych dzielnic naszego kraju.

Ponadto prelegent pokrótce scharakteryzował budownictwo nasze wiejskie, uzależniając je w myśl twierdzeń antropogeografów od czynników otoczenia fizycznego.

Nawiasem mówiąc, był to jedyny ochotniczy wkład polski do prac kongresu, natomiast nasze T-wa geograficzno-etnograficzne nie były wcale reprezentowane.

Ciakawą ilustrację znajdowały odczyty etno-

graficzne podczas zwiedzania zasobnych muzeów jak również w specjalnych pokazach kinematograficznych i przedstawieniu teatralnym folkloru szwajcarskiego.

Godne podziwu i zazdrości były owe zasoby etnograficzne stałe i czasowe, zgromadzone specjalnie dla kongresu: gdy się ponadto zważy, że obszar całego kantonu neuchatelskiego nie przewyższa rozległością naszego powiatu, a miasto, które gościło kongres liczebnością swą dorównywa naszym miastom gubernialnym.

Że jednak Neuchâtel okazał się na wysokości zadania, zawdzięcza to wysiłkom skoordynowanym całej swej inteligentnej ludności oraz podróżniczym tradycjom swych misjonarzy i zamiłowaniom ich do kolekcjonowania.

To poparcie szerszego ogółu szwajcarskiego wyraziło się też w części bankietowej kongresu.

W szeregu przyjęć gościnność ta wielce sprzyjała ułatwieniu stosunków osobistych między uczestnikami z różnych krajów. Jak wiadomo jest to bodajże najważniejszy cel kongresów, gdyż głównie owa wymiana zdań orjentuje zazwyczaj wielu badaczy w ich pracy osobistej.

Pod tym względem kongres w Neuchâtelu uczynił swoje: zwrócił etnografom uwagę na potrzebę porozumienia się, i, choć nie zgromadził ich wszystkich, to jednak dał początek serji przyszłych kongresów, gdzie już porozumienie będzie przeprowadzone systematyczniej, gdyż organizacją następnego kongresu za lat 3 zajmie się Instytut Międzynarodowy etnografi w Paryżu.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

Krytycy i recenzenci.

Wilhelm Feldman.

I.

Ród bojaźliwych krytyków rozgniata sztukę polską, jak strojna dziewka rodzimy krzew jagód i, plamiąc wstęgi narodowych emblematów, wrzeszczy w bezdenną, chciwą gardziel uśpionego tłumu hasła, na zagładę skazane, upokarza przeszłość sztandarów, minioną, bojową ich świetność, która *poezją* tkwić w duszy powinna, — i kłaniać się każe im kornie przed ołtarzami bożków intelektualnej bezsiły. Trwoży się przytym gromada epigonów z rzeźni ducha najlżejszego szmeru, oddechu piersi własnych i westchnień z dygocących warg dobywanych. Straszy ją sam fakt istnienia potrzeby polskiej właśnie kultury i samo-wiedza o bezwartości płodzonych niedomówień, podwójna kreda życiowa i zanik sumienia pisarskiego. Kredytuje sobie krytyka nasza od pewnego czasu grzechy bezmyślności i cudzołóztwa, by tem łatwiej osiągnąć piedestał znakomitości w zamtuzie umysłowej pustki. Objaw ten łącznie z przesądem nietykalności daje w wypadkowej obłudny nastrój, refleksjami o szantażu przepełniony.

Zagadnienie nasze skupia jednak ostateczne personifikacje takiego stanu, prądy główne, przyczynowe, wciskające się wszystkimi porami do bagienek ugłaskanej myśli.

Narodziny auto-fobji bezpośrednich mają ojców w uznanych dziś wielkościach, w krytycznych aeropagach mijającej doby, którą najwięcej podejrzanem światłem przepełniła latarka Wilhelma Feldmana.

Charakterystyczną cechą Feldmana jest jedno - wymiarowość jego perspektywy duchowej, zniżona do zupełnej jałowości idei i krytycznych sprawdzianów. Linja przeżyć ludzkich biegnie w nieskończoność, mimo oznaczenia kierunku posiada możliwość jego zmiany, nie w swej istocie wyobrażonej, nie — przestrzennej, lecz w dowolności umysłu, który mocen przerzucić wymiarowy jej kierunek. Posiada możliwość ruchu, ponieważ jednostka ją stwarzająca włącza do faktu jej powstawania cząstkę swojej woli. Jeżeli linja zakreślająca kierunek jest nieporuszalna, niezmienna w możliwości bodaj, stają się rzeczy bezwolne, zwierzęce, a w ostatecznych konsekwencjach nierozumne. Podobny stopień znajdujemy u ludzi, którzy przeczytali jedną książkę, lub powzięli w życiu jeden wyłączny cel. Są oni linją martwą, *odcinkami* prostej, martwego już punktu, który o ile jest w ruchu, dąży zawsze w nieskończoność, tworzy. Intellekt Feldmana jest tego rodzaju *odcinkowem przedłużeniem* nabytych idei i niegodny jest właściwie miana umysłu, cechuje go *brak umysłowości swoistej.* Feldman przedewszystkim nie posiada *kultury* własnej, nie odbiera wrażeń indywidualnie zabarwionych, jest kulturalnie zdezorjentowany.

Dusza niezdolna do przyswajania, w której wszystko pływa na powierzchni, wskutek braku podłoża fermentujących myśli nie sprowadza do oczywistości wrażeń ni sądów o danem zjawisku, działa automatyczuie. Powierzchowna wrażliwość takiej organizacji *uogólniającej szybko*, *bez podstaw*, działa piorunująco na „skrzydła“ fantazji krytycznej, wydaje płód od urodzenia ślepy, bez kontaktu z łonem macierzystym. Feldman jest krytykiem nieświadomym swoich sprawdzianów, reaguje mechanicznie jak aparat z czekoladkami; nie tyle też obchodzi go „twórca, ile fakt, czy dał mu grosz pozoru wzruszenia. Automat zawodny, nie oddający często cesarskiego cesarzowi, niewdzięczny ludziom, którzy go zapłodnić (napełnić) chcieli, czy mogli.

Feldman nie posiada umysłowości, to znaczy, że ukazując domyślniki, wskazówki zewnętrzne, namacalne zawsze i wszędzie, czyni to bez istotnej przyczyny, wskutek chwilowego działania wyrzutni, lub przepełnienia. *Bezideo-*

wość prac jego, niemoc myślowych projekcji, a przedewszystkim ich nieokreśloność nadaje im charakter z różnych powodów i na różnym miejscu kreślonych notatek, których zbiornym punktem jakaś najogólniejsza, uczuciowa, podstawiona ideologja społeczna, stanowiąca maskę oblicza duszy „pełnej pustki". Feldman nie posiada (jak sam się wyraził o kimś innym) żołądka intellektualnego, nie trawi, właściwie nie posiada gruczołów, których wydzielinami wzmódzby można zdolność bodaj przyswajania.

Zjawisko owe posiada źródła wytłumaczenia głębsze, przyczynowe.

Dostojewski powiada w „Idjocie", iż są ludzie z wszelkimi pozorami inteligencji, genialności nawet, nieświadomi przecież, w zasadzie niżej przeciętnych głupców stojący ludzie, którzy *sprytem* pokrywają ułomność mózgu i uczuciowości do stopnia najwyższego złudzenia, a sprawia to zgóry obrana, przystosowana i zapożyczona maska ideowa, którą, umiejętnie operując, można wyolbrzymieć. Takim myślicielem jest Feldman. Nie zastanawia go rozległość zagadnień w materjale, posiada na nią dzielny środek w postaci wyprobowanej intellektualnego wprawdzie, lecz zręcznie przymierzonego pozoru, którego niezawodnym sługą jest monoideizm popularno-społeczny. Dlatego wnioski i sądy Feldmana przecina nuta odwiecznych prawd, spersonifikowanych w sylwetkach autorów ze złudną świeżością sentymentu. Prawda Feldmana oparta jest zawsze na poczuciu przynależności do pewnej sfery partyjnej, którą jak linealem lub laseczką czarodziejską wykreśla ze sfery dopuszczanych możliwości krytycznych różne od tamtych postulaty i ideały. Czyni to ze swadą tolerancyjnie nastrojonych porywów stylu i uprzedza umiejętnie wszechstronność zjawisk literackich z góry przyjętymi doktrynami, które mu w mniemaniu własnym i bez krytycznych, lub zależnych odeń wielbicieli nadają hierarchiczną wyższość nad dziedziną sztuki *czystej*.

Do krytyki wprowadził Feldman tą furtką *manjactwo* społeczno tendencyjne i przepoił ją jednostronnością powszechnie znanych, przetrawionych, nieciekawych pod względem umysłowym ideologji, popularnych haseł i t. d. Uczynił z krytyki „wolną trybunę" agitacji i szantażu partyjnego.

D. n.

Przypominamy szanownym abonentom o uiszczeniu przedpłaty na drugie półrocze.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Sztuka Żuławskiego, „Koniec Mesyasza" załamała się na deskach teatralnych w Warszawie. Efekty dzięki którym miała tryumfować spaliły na panewce, odsłoniły nędzę sztuki. Żuławski uwikłał się w zabójczą sieć przez siebie sporządzoną: zatańczył teatralnym hokus-pokus nad sprzecznościami, których nie rozwiązał i rozwiązać nie mógł... Spiętrzając efekty chciał oczy widza odwrócić od konstrukcji, która mu się raz wraz w rękach rozsypywała...

Sabbataj Cwi, mesyasz żydowski; Sara, jego żona; sułtan Mohamet IV, oto trójka protagonistyczna zasadniczej integracji. Sułtan zamierza wypróbować swego przeciwnika, zatrutą strzałą zaprzeczyć jego posłannictwu. Mesyasz staje przed władcą pełen wiary, że go strzała ominie. Akcja się napina, zbliża się chwila strzału... sułtan naciąga tuk; hokus-pokus każe Janczarom zbuntować się za sceną. Sąd Boży odłożony jest do ranka następnego: w nocy Mesyasz uwiedziony przez żonę, ulega pokusom krwi i traci całą siłę sztychu, wiarę w siebie, wiarę w swoje posłannictwo. Strzał nie pada, gdyż prorok upokarza się sam przed sułtanem i przyjmuje obcą wiarę pośród chmury przekleństw i obelg swych własnych rodaków.

Nie będziemy roztrząsali czy noc w tej formie jak podał autor, noc spędzona z kochającą (ładnie go kochała!) i kochaną kobietą jest rzeczywiście możliwą i może być kryzysem dla wiary Sabbataja... ale podniesiemy, że w konstrukcji podanej uderza zasadniczo dziwne związanie naturaliztycznej strzały z wiarą, życiem zatem duszy. Nie wiem czy Żuławski sam w to wierzy, że bez tej nocy oddanej kobiecie strzała, *realna strzała* (nie symbol, nie alegorja!) ominęłaby była proroka Żydów — widz nie może w to uwierzyć dla tego sztuka zamienia się nagle na farsę czy operetkę na kabaretowych deskach. Zresztą sam autor dowodzi, że nie wierzy w interwencję Boga za chmurami skoro wprowadza swój bunt Janczarów. Hokus-pokus osiąga *nieprzewidziany efekt*: widz naprężony do ostatka strzałem który padnie, wytęża całą uwagę na napinającą się realistyczną akcję... i nagle wybucha śmiechem: widzi najwyraźniej, jak autor wymyka się z rozwiązania rzeczy... która nie może być rozwiązaną.

Jak te mątewki w akwarjach, które srogość i bańczuczność przed napastującym wrogiem udają, nagle w krytycznej chwili ze siebie wyrzucają chmurę atramentu, a same zwinięte w kłębek uśmiechają się w kącie grymasem zadowolenia (tak dobrze przeciwnika zwieść się udało!) tak i autor „Końca Mesyasza" wylewa nagle ów bunt Janczarów na głowę widza i to w chwili kiedy ten widz w najbardziej ufny sposób wierzył w straszliwą srogość sztuki samej Mohameta i Sabbataja, spoglądających na siebie rozpalonym okiem nienawiści.

Nie będziemy rozbierali sztuki. „Mesyasz" Żuławskiego, nie jest żadnym „Mesyaszem" (owa noc katastrofowo piętrzącej się metamorfozy jest kłamstwem!); jest to sobie człowieczek który za *pieniądze cudze* (pieniądze sułtańskie!)

karmi rzesze naśladując Chrystusa. Innych jego czynów nie znamy i nie widzimy na scenie. Ze taki Sabbataj może wierzyć w swoje posłannictwo możemy jeszcze jako tako zrozumieć, ale dlaczego tłum ma wierzyć, tego absolutnie nie rozumiemy? Nie może się nam zmieścić w głowie jak Żuławski może mniemać, aby masy szerokie, w nędzy i poniewierce będące, mogły się dać wziąć na lep człowiekowi, który jedynie powtarzał (trawestował) twórczość obcą, i to twórczość odnoszącą się do najgłębszych splotów jakie kiedykolwiek przeżyła ludzkość. Przeogromny wpływ Sabbataja na szerokie masy Adryanopola XVII w. wpływ, który rozlegał się szerokim echem po całym świecie musiał chyba w czemś głębszem zakorzeniać się niż w owych *frazesach*, które w ustach Sabbataja, tak potwornie *karykaturują Ewangelję*. Bliżej spoglądając na tłum otaczający proroka, dostrzegamy że ten tłum właściwie nie wierzy w tego swojego proroka, (sułtanowi zostaje podstawiona zwykła, strzała, zamiast zatrutej!)

Żuławski uczynił w swojej sztuce *krzywdę Żydom*: utworzył Sabbataja i tłum z szacherek i kłamstw. Na takiej drodze nie mógł on równocześnie nie sponiewierać Ewangelji i nie uczynić parodji z Chrystusa; kładąc w usta Sabbataja słowa Ewangelji a podmalowując życie tegoż Sabbataja marnym kwaszem moralnym dał broń do ręki tym, którzy pokazując palcem na Sabbataja ośmielili się krzyczeć w Warszawie: Chrystus to taki Sabbataj.

Solski jako inscenizator zteatralizował „Koniec Mesyasza" do reszty, uczynił operetkę z całości. Rzeczy, które w książce musiały być z konieczności utajone i dyskretne, wywołane na deski teatru i *podkreślone*, przybrały horendalne kontury. Ale Solski lubuje się w groteskowości krzyczącej. Powiadają starsi, na usprawiedliwienie tego wielkiego aktora, że takim był też Żółkowski, Rychter... *Weychert* — artysta z Bożej Łaski był Sabbatajem i artysta ten namęczył się i wycierpiał chyba za wszystkie czasy. Czuć, że rola, którą się gra jest bezsensowną, artystycznie papierową, w akcji samej podziemnej kłamliwą... starać się grać taką rolę dobrze, wbrew przekonaniu i wszelkiej możliwości... aby ocalić sztukę... widzieć wszystkie swoje serdeczne wysiłki spalone na panewce... oto splot w którym porusza się psychika dzisiejszych aktorów tak często (jakżeż często!) w Warszawie. Trzeba naprawdę być bez serca, aby nie zrozumieć ile mąk, upokorzeń, wstydu przechodzić musiał taki Weychert jako Sabbataj. Tam gdzie Solski (Mohamed IV) czuł się jak szczupak w wodzie, tam ginął Weychert; ale też, bo jest różnica. Solski kopiował siebie samego z Dymitra (jako nowość dodając tylko boleści brzucha!), Weychert zaś obowiązany był stworzyć kreację, która nie może być stworzoną i nigdy nie zostanie stworzoną z tego co Żuławski złożył w swym dramacie: fikcję fikcji — Mesyasza na cudzej twórczości.

Sarą była *Mirska*, naprzemian z *Sulimą*. Niestety nie widziałem Mirskiej; zanim zdążyłem zobaczyć tę wysoce utalentowaną artystkę, już sztukę zdjęto z afisza. Sulimę podziwiałem. Nie wiadomo, dlaczego ta artystka tak rzadko występuje na scenie? Przecież każdym swoim gestem, czystością mimiki, akcentem swej wiary czy pewności dramatycznej należy do repertuaru wielkiego. Jest w Sulimie jeszcze pewna dysproporcja między wewnętrzną sztywnością, a elastycznością i muzykalnością form zewnętrznych. Mimika jest nie tylko przedziwnie prawdziwą i czystą, nosi ona charakter stylowy i nabiera siły wizyjnego sztychu. Brak natomiast giętkości wewnętrznej. Sulima czyni chwilami wrażenie jakby *lękała się wyjść ze siebie*; na skutek tego gra *zbyt jednostajnie wewnętrznie*.

Posiadając niesłychaną skalę modulacji nie używa ona wpełni tej skali. Przyznaję, że nie znam artystki w Warszawie, którąby miała takie krańcowości w sobie jak Sulima: z jednej strony ekspresję dramatyczną posuniętą do sztychu, z drugiej miękkość wyrafinowaną eolskiego liryzmu zdolnego rozpływać się w obłokach sentymentów. Przerzucanie się błyskawiczne z jednego krańcowego stadjum w drugie jest dotąd niewyzyskane. Już w Sarze można było spaść całą gamą z menadowego krzyku do jakiegoś szeptu szeptów.

K. W.

Wrażenia.

We wszystkich dziedzinach życia naszego gnieździ się fatalna bakterja rozkładowa, której na imię — brak. Zda się, jakbyśmy usilnie starali się wychodowywać wszędzie kulturę braków, zda się, jakby wszystko, cokolwiek istnieje, istniało właśnie dla owego braku. Nie mogąc — i nie chcąc zresztą — wyliczać mirjady dezyderatów, zwrócimy chociażby uwagę na stan naszych wydawnictw perjodycznych poświęconych literaturze i sztukom pięknym i ich pododdziałom (jak sztuki stosowane, starożytnictwo i t. p.). We wszystkich niemal wydawnictwach tego typu, wegetujących zresztą z braku solidnych czytelników, wyczuwać się daje brak należytego poziomu, brak «linji» przewodniej, brak fachowego pogłębienia, brak... i t. d. i t. d. Dorywczość, pobieżność biorąca z jednej strony swój początek w braku należycie skordynowanych sił redakcyjnych, jak zarówno wypływająca z pseudopotrzeby dostarczania «lekkiej» strawy prenumeratorom, — panuje w nich wszechwładnie.

To też z należytym uznaniem podkreślić należy fakt najdodatniejszego rozwoju, jakiemu podlega obecnie miesięcznik «Sztuka». Od pewnego już czasu widoczne były zmiany zachodzące w tym czasopiśmie: coraz konsekwentniejsza linja doboru artykułów i utworów oryginalnych. Potem wyłonił się oddzielny szeroki dział informacyjny «Kroniki artystycznej» i fachowy «Przegląd starożytczy», — aż wreszcie w ostatnim tomie V-ym (zeszycie XX — XXII, luty-kwiecień 1914) omawiany miesięcznik doszedł do wyżyny niepowszedniej,— stał się jedynym u nas czasopismem literacko-artystycznym istotnie fachowym. Nie ulega zda się najmniejszej wątpliwości, że idąc wytkniętą sobie linją rozwoju, «Sztuka» może zająć bardzo ważkie stanowisko i w niejednym przyczynić się dla literatury naszej i rozwoju poważnego czytelnictwa, czego jej z całego serca życzymy.

Czytelnik interesujący się stanem dzisiejszego piśmiennictwa Europy, znajdzie fachowe informacje w «Kronice artystycznej», człowiek nie goniący za ulotną feljetonową płytkością brukowych nowych «znanych» essay'istów, lecz nawykły oznajmiać się z każdą kwestją źródłowo, napotka w «Sztuce» szereg artykułów odpowiadających poważnym wymogom, artysta-odtwórczy (a jest nim być w stanie każdy czytelnik) zetknie się z szeregiem tęgich utworów polskich i cudzoziemskich, — słowem przestudjowanie ostatniego tomu «Sztuki» zapewnia szereg istotnych wrażeń i refleksji.

Pozwolę sobie na potwierdzenie słów powyższych przytoczyć treść omawianego tomu: «Rysunki Józefa Łęskiego» — przez d-ra W. Tatarkiewicza; «Bellissima Monna Liza da Giocondo» — przez dr-a. H. Ochenkowskiego; «Nieznany autograf i rysunek» Teofila Lenartowicza; «Nowe Życie» Dantego «polskim rymem przełożył» W. T. Husarski; «Wrażenia z Włoch» — przez Jana Lemańskiego; «Madonny Polskie» studjum ikonograficzne — przez dr-a M. Nałęcz-Dobrowolskiego; «Goście» Emila Verhaerema w przekładzie M. Dąbrowskiej; «Zakończenie odczytu o entuzjazmie» przez Emila Verhaerena; «Jan Pankiewicz» — przez R. Zrębowicza; «Słowo zwiastowane Marji» Pawła Claudel'a; «Ostatnie dzieło M. Karłowicza» — przez Piotra Rytla; «Widmowe rymy» — K. Juszkiewicza; «Sztuka buddyjska» — przez W. Mitarskiego; «Zarys budowy miast podług zasad artystycznych» — przez A. Lauterbacha i «Wystawa rycin polskich» — przez W. T. Husarskiego.

Tom zdobią bardzo liczne ilustracje i reprodukcje dzieł plastycznych.

Książki nadesłane do Redakcji.

Leon Choromański: «Pościg za słońcem». Warszawa 1914. Nakładem J. Mortkowicza. Str. 144.

Natalja Jastrzębska: «Kłamstwo». Powieść. Warszawa 1914. Nakładem kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff; Kraków, G. Gebethner i Sp. Str. 300.

Ofiary.

Na pomoc studentowi rb. 30.

Na rzecz T-wa Popierania Przemysłu Ludowego rb. 61.

od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 15, F. Jabłkowski rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, J. Rzewnicki rb. 6, S. Kosiewicz rb. 5, S. Klingenberg rb. 6, S. Prauss rb 5, S. Poradowski rb. 5, S. Hegner rb. 1, H. Cywiński rb. 2, S. Szczawiński rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, J. Rajski rb. 1, B. Świestowski rb. 1, A. Hoppen rb. 1, R. Świetliński rb. 1, K. Prauss rb. 1, S. Harland rb. 1, S. Hahn rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, Z. Słojewski kop. 50, W. Zieliński rb. 1, L. Nowicki rb. 1. Ogółem rb. 91.

Na szkołę w Bratnem p. Marja Hulanicka z Kijowa rb. 10.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

CZEKOLADA DESEROWA



NAJZDROWSZA NAJSMACZNIEJSZA

E. WEDEL

W WARSZAWIE.

Czem Jest Straż?

STRAŻ jest jedynem polskiem pismem w Ameryce, które broni szczerze i otwarcie ludu polskiego przed zachłannością wrogich narodowi naszemu dygnitarzy kościoła Rzymskiego.

STRAŻ wskazuje ludowi nowe drogi w tej walce i jedynie skuteczny sposób obrony przed naszą zgubą.

STRAŻ jest pismem ludowem, robotniczem i rozumny polski robotnik powinien to pismo czytać.

STRAŻ pisze to, czego żadne inne pismo nie pisze tak jasno, to jest **PRAWDĘ.**

Bracia Robotnicy Czytajcie i Rozszerzajcie Straż

STRAŻ

1002 Pittston Avenue. SCRANTON, PA.

Dzieła Ignacego Radlińskiego

Przeszłość w Teraźniejszości, zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych.

Historja nauki o człowieku.

Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie: Księga wstępna do literatury apokryficznej w Polsce.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie w polskich przeróbkach.

Spinoza, rzecz historyczno-społeczna.

Dzieje jednego Boga.

Dzieje jednego z Synów Bożych.

Na przełomie dziejowym: początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego.

Dwa dokumenty ludzkości: dziesięcioro przykazań Bożych i deklaracja praw człowieka.

Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna.

Jezus, Paweł, Spinoza. Cena rb. 3.

We wszystkich księgarniach.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego

TOM I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

TOM II: Tragikomedja prawdy: On i ona. Z pamiętnika, Sam sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona, Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20.**

TOM III: Bajki, krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafte, Dwaj filozofowie, Dwa widma, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 k. 50.**

TOM IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

TOM V: Trylogja. Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aurelji Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VI: Antea, Na targu, Hia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VIII: Duchy, część 4, 5, 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.